OPIEKUN DOMOWY

Warszawa dnia 6 (18) Grudnia 1867 roku.

Nr 51. Cena w Warszawie 20 kop. miesięcznie.—Cena na prowincji na stacjach pocztowych 75 kop. kwartalnie. Redakcja i Ekspedycja Główna przy rogu ulicy Leszno i Solnéj pod Nr. 715. Rok III.

Dr. Jan Bącewicz.

Ś. p. Jan Bącewicz należał do najstarszych i najwięcej cenionych doktorów warszawskich. Bogacz i żebrak znali go zarówno, bo ś. p. Jan obudwom nie odmawiał posługi, na równi ceniąc jednego jak i drugiego. Przebiegnijmy pokrótce jego żywot poświęcony tak cierpiącym jak i nauce.

Jan Bącewicz urodził się w r. 1799 we wsi Kietunie, powiecie Telszewskim, gubernji Kowieńskiéj. Nauki początkowe pobierał w Kalwarji, w szkołach X. Dominikanów, a po ukończeniu ich udał się w 1817 r. na uniwersytet wileński, gdzie po otrzymaniu stopnia kandydata filozofji z nauk przyrodzonych, poświęcił się naukom lekarskim. Po ukończeniu takowych w krótkim czasie bo w 1823 r. i po napisaniu i publicznem obronieniu przez siebie napisanej rozprawy pod tytułem: *„De extirpatione mammuae"*, otrzymał stopień doktora medycyny. Niezadługo, bo jeszcze na jesień tegoż roku ukazał się na widnokręgu warszawskim, gdzie objął obowiązki lekarza ordynatora w szpitalu wojskowym ujazdowskim. Było to dla niego obszerne pole doświadczeń, a jedenastoletnie pełnienie obowiązków ordynatora i powiększająca się stopniowo praktyka prywatna, wyrobiły w nim pewność sądu w rozpoznawaniu chorób, w czem później doszedł nawet do niejakiej biegłości. Toteż zawsze zalecał młodym lekarzom praktykę szpitalną, tak niezbędną do poznania gruntownego nauki, a najlepszym będącą środkiem wykształcenia się w zawodzie lekarskim.



Dr. Jan Bącewicz.

Pilność i znajomość swojego zawodu nie uszła uwagi władzy, bo kiedy w 1825 roku pomiędzy załogą Zamościa ukazała się grasująca podówczas choroba oczna, znana pod nazwiskiem zapalenia egipskiego, wysłany został tamże, a trafność w używaniu środków, niejednemu żołnierzowi wzrok ocaliły. W roku 1833 opuścił Bącewicz służbę wojskową i od tego cza-

su poświęcił się zupełnie posługom prywatnym — w nagrodę czego zyskał szacunek i zaufanie powszechne. W 1825 roku został czynnym członkiem Towarzystwa lekarskiego warszawskiego, który to obowiązek pełnił aż do śmierci, a jako jeden z najczynniejszych członków, wybrany został w 1851 r. na prezesa. I wileński uniwersytet niezapomniał o swym uczniu, albowiem wileńskie towarzystwo lekarskie w 1834 r., powołało go na swego członka korrespondenta. W roku 1838 powołany został przez wyższą zwierzchność na członka rady lekarskiéj w Królestwie, oraz na godność słuchacza egzaminu z Terapii i kliniki terapeutycznej, osób starających się o kwalifikacje do wolnej praktyki w Królestwie, lub o wyższe stopnie naukowe. W roku 1841 został członkiem Rady szczegółowej Instytutu Głuchoniemych i Ociemniałych w Warszawie; po śmierci zaś D[ra] Malcza w 1852 roku objął w tymże Instytucie zarząd lekarski, któremu podarował summę 18,000 złotych jako wieczysty kapitał, od którego procent przeznaczył na wychowanie w zakładzie jednego ubogiego ucznia. Nakoniec w 1855 roku został członkiem Rady głównéj zakładów dobroczynnych w Królestwie.

Bącewicz jest autorem rozpraw zamieszczanych w Pamiętniku towarzystwa lekarskiego. Ważniejsze z nich są: 1) „Postrzeżenia chirurgiczne.” 2) „Wyjście niezwykłym sposobem ciał obcych z ran postrzałowych.” 3) „O udzielaniu się ludziom nosacizny końskiéj.” 4) „O gorączce tyfoidalnej.” 5) „Uwagi nad chorobami panującemi w miesiącu Lipcu i Sierpniu czyli o zabójczej cholerze w roku 1852.” 6) „O działaniach wezykatorji i jej skutkach.” 7) „Rozbiór broszurki Baranieckiego: „*Notice sur la petit lait en Bessarabie*,” własnemi uwagami wszechstronnie wyłożył i rozebrał leczenie mleczne i serwatczane.”—Ocenienie wartości naukowej tych dzieł nie do nas należy. Prace te są dowodem, że ś. p. Bącewicz lat 41 żyjąc, pracował gorliwie nawet w chwilach wolnych od praktyki. Będąc oszczędnym, ś. p. Bącewicz odmawiał sobie prawie wszystkiego, a wiedząc że to co zaoszczędził i zebrał, nie jest jego własnością ale całego społeczeństwa, zebrał znaczny mąjątek który poświęcił na cele dobroczynne. Na 5 miesięcy przed śmiercią 15 Lipca 1864 r. zrobił testament, w którym powyznaczał summy jak np. na kupienie domu dla Towarzystwa lekarskiego 150,000 złp; z kapitału na wsi Bolimowie 100,000 złp. procent od tejże na stypendja dla dwóch studentów Szkoły Głównej koniecznie polaków, pierwszeństwo mają mieć urodzeni w Kowieńskiem jako w jego miejscu rodzinnem; pewien fundusz dla pięciu wdów po lekarzach polakach, corocznie rozdawany w dzień imienin ś. p. Bącewicza 24 Czerwca; 10,000 złp. dla Głuchoniemych i Ociemniałych. Książki według jego woli miały być rozdane między ubogich studentów Szkoły Głównej kształcących się w zawodzie lekarskim, a narzędzia chirurgiczne przeznaczył dla Szkoły Głównéj Warszawskiej. Resztę majątku przeznaczył dla wnuka swego nieletniego Jana Stanisława Koźmiana, do którego kończąc testament, powiada: „Nie miéj mi za złe, żem cię nie uczynił bogatym, boby cierpiały w tém wdowy i sieroty. Pracą i oszczędnością doszedłem do majątku i ty tym samym sposobem dojść do tego możesz.”

Śliczne miał zasady Bącewicz—Bóg oby dał, aby wszyscy go naśladowali. *Stanisław Pracki.*

WORECZEK ZACZAROWANY.

„Mój tatulu! powiedz proszę
Czy to prawda, czy bajeczka,
Że mieć można zawsze grosze,
Byle dostać gdzie woreczka,
W którym pieniądz jest zaklęty?
Co się nigdy nie utraca,
I choć tysiąckroć wyjęty—
Niewiadomie znów powraca?
Gdzie ten skarbczyk dostać można,
Czy do wróżki iść potrzeba?
I czy nie jest to rzecz zdrożna,
W ten się sposób dobić chleba?”—
„Święta prawda, mój syneczku!
Mieć woreczek taki można,
I jest taki grosz w woreczku,
I mieć skarb ten—rzecz niezdrożna...
Lecz do wróżki iść nie trzeba,
Nic nam wróżka nie udzieli,
Dar ten mamy z łaski Nieba,
Byleśmy go użyć chcieli....
Tym woreczkiem—głowa nasza,
Wróżką—szczera chęć i praca,
Kto sił darmo nie rozprasza
I wciąż umysł swój zbogaca,
Ma ten skarb niewyczerpany,
Niech przeciwność go nie trwoży....
Bo tysiąckroć grosz wydany,
Znów przez pracę się przysporzy”.

Jan Prusinowski.

SAMOBÓJCA.

POWIEŚĆ KARPACKA.

(*Dalszy ciąg.*—Patrz Nr. 50).

Rozweselił się myślą, że ma sprzymierzeńca w przypadku czy w szatanie, i śmielej jeszcze postępował dalej według swojego planu.

— A co słyszałeś pan?... — mówił dalej do starca, — prości górale z odleglejszych wiosek wiedzą już o działalności i zasługach pańskiego synowca. Tyle zrobić w ciągu dni kilkunastu, na to potrzeba całej potęgi dobrej woli, którą genjuszem nazwaćbym się poważył... Nie narzucam panu moich myśli, ale ja gdybym miał takiego synowca....

Mrożkowi bardzo o to chodziło, żeby powiedzieć stryjowi Jana, coby robił gdyby miał takiego synowca. Czasu, który obracał na przejechanie się z nim po Tatrach chciał właśnie użyć na to, ażeby go przekonać że powinien zrobić tak samo i wybadać zręcznie, czy innych jakich rozporządzeń testamentowych nie poczynił. W tej chwili przecież nie mógł dokończyć swego zdania.

Stary Świt, który prawie wcale nie podróżował i po raz pierwszy w życiu swojem był w górach, niezmiernie się zajmował wszystkiemi szczegółami, które się nasuwały jego oczom, i dla tego chociaż mu przyjemnie było słuchać pochwał człowieka, który krwią był mu najbliższym i nosił jego nazwisko, przecież często przerywał rozmowę, dopytując się o rozmaite szczegóły krajobrazu, który mieli przed oczyma.

I tą też razą przerwał Mrożkowi w środku zdania.

— Więc te zwaliska co tam widać to Czorsztyn?...

— Czorsztyn, panie, — odrzekł zręcznie nawracając do swojego Mrożek—piękny niegdyś, obron-

ny i warowny zamek, z którego dziś tylko ruiny pozostały, a i z tych nawet jakiś wandal właściciel karczmę chciał budować... Bo tak to bywa zawsze z dziełami człowieka z cegły i kamienia... czas je obraca w ruinę i kupy gruzów tylko po nich pozostają. Owoce i dzieła pracy moralnej, duchowo pozostają za to na wieki i winszować trzeba pańskiemu synowcowi, że tę drogę obrał.... Wspomnienie o jego dziełach dłużej przetrwa w tych górach, niż zwaliska starożytnych zamków... Nie narzucam panu dobrodziejowi moich myśli, ale gdybym miał takiego jak Jan Świt synowca...

— To cóżbyś pan uczynił?...

— To bym go ozłocił po prostu — odrzekł Mrożek,— naturalnie gdybym był w stanie to uczynić. Człowiekowi takiego jak on usposobienia potrzeba tylko środków, ażeby módz się stać dobroczyńcą nie jednej wioski lub parafji, ale tego całego górskiego plemienia, pogrążonego dotąd w nędzy i ciemnocie.

— Pięknie pan mówisz — odpowiedział na to stryj Jana,— ale nie znasz jeszcze mego synowca.

— Pozwolisz pan dobrodziej że mu zaprzeczę, znam go najlepiej...

— Jest to piękny charakter, zacna dusza, szlachetne serce — ciągnął dalej starzec,— ale pieniędzmi rządzić się nie umie. Zapewne pan nie wiesz, gdyż mój synowiec od niedawna bawi w tych stronach, że głównym powodem jego osiedlenia się tutaj, była strata dosyć znacznego majątku, która wprawdzie była skutkiem nie jego winy, lecz złości ludzkiej, ale od której przy pewnej praktyczności w postępowaniu, ustrzedz się było można.

— Wiem o tem panie— Jan Świt nie ma dla mnie tajemnic.

— A więc powiedz pan sam, czy powierzać takiemu człowiekowi znaczniejsze mienie, niebyłoby to narażać go na nową walkę z chciwością i złośliwością ludzką, których pokonywać nie umie?

— Panie dobrodzieju — odrzekł poważnie Mrożek,— o jednej rzeczy pan zapominasz. Jan Świt za straty jakie poniósł, kupił sobie to co jest najdroższem i najpotrzebniejszem w świecie... doświadczenie i znajomość ludzi... Poznasz go pan i przekonasz się o tem i sam powiesz, że gdyby temu człowiekowi dać środki, to jużby mu ich złośliwość ludzka nie wydarła.

— Ja też o nikim innym jak o nim, jako o swoim spadkobiercy, nie myślę — odrzekł Świt,— teraz nawet, za życia, postanowiłem oddać mu część tego co mam, szczególnie bowiem ujęła mnie dla niego ta szlachetna duma, pogoda umysłu, pewność siebie i odwaga, z jaką po stratach jakie poniósł, zaczął prowadzić życie czynne na jednem z najmniej materjalnie korzystnych, chociaż za to najpożyteczniejszych i najgodniejszych stanowisk. Po śmierci zaś mojej zabierze wszystko — nie mam innych krewnych, chyba bardzo dalekich.

Głównym celem Mrożka w prowadzeniu tej rozmowy, było usłyszeć to właśnie wyznanie. Wyrażając się w ten sposób stary Świt, mówił mu wyraźnie, że niezrobił żadnego rozporządzenia swojem mieniem, lub jeżeli je zrobił to tylko na rzecz Jana. Widocznem więc było, że w razie śmierci starca, ten kto prawnie mógłby się przedstawić jako Jan Świt, zostałby jedynym i wyłącznym jego spadkobiercą.

Dowiedziawszy się o tem, czego potrzebował, Mrożek mniej już natrętnie rozpowiadał o swoim przyjacielu bakałarzu Skalickim i mniej naciągał rozmowę do jego pochwał. Szło mu o to, żeby stary Świt nie spostrzegł się na jego do przesady posuniętem uwielbieniu dla Jana Świta i nie wziął go za uproszonego umyślnie, ażeby sprawy synowca bronił i adwokatował w obec stryja.

Zmienił zatem taktykę i jak przedtem rozmowę od każdego przedmiotu starał się przeprowadzić na Jana Świta, tak teraz gdy stryj mówił o swym synowcu, on nieraz zagadywał i zwracał jego uwagę na piękność otaczającej ich przyrody.

Wszystkie szczególnie piękne a najczęściej opisywane, bo najczęściej zwiedzane miejscowości Tatrów, będących niby półwyspem ostrokręgowych granitowych szczytów, panujących wysokością nad okolicznemi górami, werzniętym w granicę węgierską i posuwającym ją znacznie na południe—wszystko to co niejeden za niewidziane bierze, za jedyne rzeczy godne widzenia w Karpatach, leży w dolinach czarnego i białego Dunajca, a zatem głównie na wschodniej stronie tatrzańskiej gruppy. Na zachód od Nowego Targu, rzadziej daleko zapuszczają się turyści, częściej za to przekraczają granicę węgierską od strony wschodniej Tatrów i zaglądają na ziemię Spiską, w ogólności kierując się zawsze biegiem rzeki, która jest tem dla zwykłych tatrzańskich turystów, czem Prądnik dla zwiedzających naszą Polską Szwajcarją, albo Elba i Kirnicz dla owych przyjaciół romantycznych widoków i czeskiego piwa, których tysiące co niedziela i święto Drezno do Szwajcarji saskiej wysyła.

W górach też nie może być inaczej. Turysta poświęcający najwyżej parę dni na poznanie górskiego kraju, musi się pilnować biegu rzeki; rzeka bowiem była pierwszą naturalną drogą w tych okolicach, gdzie natura na każdym kroku, stawiać zwykła przeszkody komunikowania się miejscowości jednych z drugimi. Wzdłuż rzek najłatwiej było wytykać i wybijać pierwsze drogi sztuczne. Najważniejsze też komunikacje górskie wiją się zwykle wężykiem, rzadko odchodząc od brzegu, który im służy za kierownię i korzystając z naturalnego łagodnego spadku, który im woda przed wiekami wyryła.

Ci dopiero, co mają więcej czasu i więcej zamiłowania, którzy dla pięknego widoku gotowi są poświęcić wygodę, narazić się na trudy i niebezpieczeństwa, którzy chcą koniecznie zajść tam, gdzie mało kto był przed niemi, i gdzie można jest doznać wrażeń nie ośpiewanych i nie opisanych jeszcze na wszystkie strony przez wierszopisarzy i prozaików, oddalają się od brzegu rzeki i walcząc na każdym kroku z przeszkodami, idą w strony mniej znane, dziksze, piękniejsze, radzi że cudny widok z granitowego czoła górskiego otrzymany, zapłaci im za trudy połączone z narażeniem życia, jakie i w drapaniu się na szczyt i zejściu z niego towarzyszą.

Plan wycieczki, ułożony przez Mrożka i obrachowany głównie na to, żeby nie więcej ani mniej czasu poświęcić na jej odbycie, jak tylko tyle ile mu koniecznie było potrzeba, miał też za podstawę owe linje kierownicze Dunajca. Od Nowego Targu do Czorsztyna jechali drogą prowadzącą nad białym Dunajcem, ztamtąd na południe i północ puszczali się w kierunku czarnego.

Tym sposobem zwiedzili niemal wszystko, co się zazwyczaj zwiedza, kiedy się w Tatry na spacer wybiera.

Obejrzawszy zamek czorsztyński, przeszli na drugą stronę rzeki, aby zobaczyć Niedzicę, leżącą już na węgierskiéj ziemi i będącą owem nieszczęśliwem pomięszaniem starych murów i nowych budowli, które ani miłośnika omszonych wiekiem ścian, ani przyjaciela dzisiejszej architektury zupełnie zadowolić nie może.

Ztamtąd, część drogi odbywając w małych łódkach Dunajcem, zwiedzili tak zwany Czerwony klasztor i późnym już wieczorem dotarli aż do Szczawnicy, zkąd nazajutrz raniutko puścili się napowrót, pomodliwszy się w miejscowéj kaplicy, gdzie Mrożek miał sposobność wystąpić z swoją popisową pobożnością.

Trzeba było widzieć Mrożka w czasie tej podróży, ażeby się przekonać jak doskonale odgrywał rolę zapalonego miłośnika przyrody choć przekonaliśmy się już widząc go nad wodospadem i nad brzegiem Morskiego Oka, że piękność natury nie przemawiała wcale do jego uczucia. Tutaj, bojąc się, żeby do Skalic nie przyjechać za wcześnie, umiał zatrzymywać starego Swita gdzie zechciał i szeroko mu prawił o wrażeniach jakich doznaje na widok obrazów, które miał przed oczyma; umiejąc zawsze dobrać pięknych, potoczystych wyrażeń, którychby mu niejeden turysta spisujący dziennik swojej podróży po miejscach tysiąc sto jeden razy opisanych, pozazdrościł.

Drugiego dnia wycieczki dotarli aż do Kościelisk, zkąd z głębi uroczego wąwozu Czarny Dunajec wypływa. Parę godzin drogi było ztamtąd do Skalic, a dzień miał ich jeszcze daleko więcej do przebycia. Potrzeba było zatem przepędzić w Kościeliskach godzin kilka i Mrożek z niesłychaną zręcznością i wymową, umiał zatrzymać starca przez ten czas na miejscu, tak że mu ani na chwilę myśl odjechania prędzej niż chciał jego towarzysz nie przyszła.

Kościeliska są w istocie najpiękniejszem może ustroniem w Tatrach. Po opisach jakie mamy po Sewerynie Goszczyńskim zwłaszcza, trzeba byłoby niemałej odwagi i ufności w swe pióro i wymowy, żeby je opisywać lub opowiadać. Mrożek nie czytał tych opisów, nie znał poematów jakie ta ustroń natchnęła, wszystko co mówił czerpał z siebie i zdawało się, że konieczność bawienia w tem miejscu przez czas jakiś, zatrzymania tu starca tak żeby nie czuł że jest zatrzymywanym, dodawała jego słowom zapału, który mógł ujść za natchnienie.

Przedmiot był prawda bogaty i prześliczny i można było czerpać z niego pełną dłonią estetyczne uwagi i wykrzykniki zachwytu, który znać było że był zimnym, bo ilekroć Mrożek pozwolił go sobie, zawsze go motywował gorącemi słowami a szeroko. Tak się zwykle wypowiada zapał udany i kłamany zachwyt. Prawdziwy podziw najczęściej wyraża się owem jednosylabowem a wymownem „Ah!", które w sonecie Mickiewicza wędrowiec na widok Czatyrdachu wydaje.

W gawędzie Mrożka, nie było ani jednego takiego wykrzyknika nie wymuszonego, niewyegzaltowanego podziwu „Ah!" trwa za krótko, a on przed sobą miał czasu wiele tym bardziej, że nie mógł zaproponować starcowi drapania się na Pyszną, zdobiącą głąb krajobrazu, coby mu było wcale na rękę dla zabicia godzin, które koniecznie zabić potrzebował.

Analizował więc zręcznie piękności każdego załomu, każdéj skały, każdego szczytu, wyśpiéwał mnóstwo dytyrambów prozą na cześć Przyrody, a gdy i to się wyczerpało, gdy umysł jego zmęczył się cokolwiek tą improwizacyą liryczną, tworzył i opowiadał podania przywiązane do pierwszej lepszej skały która mu wpadła w oko, chcąc tym sposobem dać niejaki wypoczynek swemu sztucznemu zapałowi.

Wszystkie te manewra powiodły mu się i dopięły swojego celu. Stryj Jana Świta oszołomiony i znużony co kolwiek tą nieustającą gadaniną, dał się jednak zatrzymać aż do chwili, którą Mrożek oznaczył sobie do powrotu.

Noc zapadała, kiedy przyjeżdżali do Skalic,

Wjeżdżając do wioski, w której mieszkał Mrożek, czuł że się zbliża chwila wykonania wszystkich na raz planów układał sobie w myśli jak ma postępować, stał się milczącym, zamyślonym i bystro okiem rzucał do koła, obawiając się w tej zwłaszcza chwili, żeby jaka nieprzewidziana okoliczność, jakie niespodziane spotkanie, któreby go zdradzić mogło, nie popsuło mu wszystkich planów na parę godzin przed ich wykonaniem.

Trzeba było przejeżdżać w pobliżu domostwa Kałata. Wyglądało ono właśnie tak samo jak owej nocy, kiedy Janek przyszedł do wsi i przekonał się, że Halka nie czekała na niego. Księżyc oświecał chatę swoim blaskiem, a przed nią na ławeczce chłopiec i dziewczyna szeptali sobie przysięgi miłosne.

— Ostatni raz tak się kochacie — pomyślał Mrożek przejeżdżając.

Zajechali nareszcie przed dom szkolny.

Mrożek już naprzód powiedział najętemu woźnicy, że czekać nie potrzebuje, tylko zaraz zniósłszy rzeczy powracać może. Jak tylko stanęli przed domem, zeskoczył z siedzenia, wbiegł do domu swojego, napotkał Janka, który chciał właśnie wychodzić naprzeciw niego, spytał go szybko czy Dawid nie przyjechał, dowiedział się, że go nie ma jeszcze, kazał się chłopcu usunąć i nie pokazywać, i wybiegł po chwili, ażeby zsadzić i sprowadzić do domu starego Świta.

Widząc Mrożka powracającym samego, stryj Jana zapytał:

— Gdzież on?

— Nie pojmuję co się to znaczy — odrzekł Mrożek, — nie ma go w domu: musiał chyba wyjść na wieś i zaraz wróci... Nic to jednak nie szkodzi, niech pan dobrodziej będzie łaskaw spocząć...

Stary Świt dał się wprowadzić do domu swego mniemanego synowca, zdziwił się jednak, że Jan nie zaczekał na jego przybycie i dał poznać, że go to obeszło mówiąc tonem wymówki.

— Nie czekał nawet na mnie, to rzecz dziwna.

— Sam tego nie rozumiem — rzekł Mrożek — musi jednakże być przyczyna, którą usprawiedliwi za powrotem. Zbyt dobrze znam Jana i wiem jak upragnionem dla niego było przybycie pańskie, więc jestem pewny, że nie oddaliłby się z domu, gdyby coś nadzwyczajnie ważnego nie zaszło.

Po chwili znajdując niby list, który jeszcze przed wyjazdem przygotował, zabrał z sobą, a teraz zręcznie na stół rzucił i zawołał:

— O! właśnie... jakąś kartkę tu pozostawił!

List ten, jak się łatwo domyślić, wytłomaczył wszystko. Pisał w nim Jan Swit, że twarda konieczność, obowiązki i różne okoliczności od niego niezależne, które za powrotem dokładniej miał obja-

śnić, zmuszały go do odmówienia sobie przyjemności ucałowania rąk stryja natychmiast po przyjeździe. Prosił Mrożka, żeby go wyręczył w przyjęciu, stryja zaś, żeby się raczył rozgościć w jego ubogiem domostwie. W końcu zapowiadał, że nazajutrz rano niezawodnie powróci i błagał o przebaczenie, że obowiązku stawienia się na przyjęcie dobrodzieja i drugiego ojca swojego, mimo najszczerszej woli nie dopełnił.

Było to napisane zręcznie i gładko, aż starego za serce ujęło.

— Dziwna rzecz—mówił — co się z tego chłopca zrobiło. Obok obowiązków nauczyciela, które mógł przyjąć z zamiłowania ludu lub młodego zapału dla dobrej sprawy, musiał zapewne przyjąć jeszcze jakiś obowiązek poboczny, tak, że nawet nocy wolnej nie ma i na każde zawołanie wyjeżdżać musi. I te podwójne obowiązki spełnia z taką gorliwością, jakiej się po nim bynajmniej nie spodziewałem. Doprawdy, może pan masz słuszność, że za stracony majątek nabył tyle doświadczenia i poważnego poglądu na życie, że samej straty jaką to okupił, żałować nie ma potrzeby.

— Tak sądzę panie — odrzekł Mrożek, który od chwili przybycia do domu, stał się daleko mniej gadatliwym i rad był jak najprędzej wywiązać się z obowiązków zastępcy gospodarza w swoim własnym domu, — lecz ponieważ podróż musiała bardzo znużyć pana dobrodzieja, więc sądzę, że najlepiej będzie, jeśli pan pójdzie na spoczynek. O przygotowaniu wygodnego miejsca, musiał już Jan zapewne pomyśleć.

Wistocie za otworzeniem drzwi, Mrożek znalazł jak można było najwygodniej przyrządzoną sypialnią.

Stryj Jana nie dał się prosić i wkótce leżał już w łóżku.

W chwilkę potem Mrożek przyniósł mu herbatę, do której przedtém wpuścił kilka kropel jakiegoś płynu, a następnie przeprosiwszy starego, że się oddalić musi, pozostawił go samego.

Starzec pokosztował napoju, wypił z pół szklanki może i odsunął resztę od siebie.

— Dziwna jakaś herbata — myślał, — ale to trudno.... na wsi, w górach nie można być wybrednym...

Wkrótce senność zaczęła go ogarniać, powieki ciężyły i zamykały się mimowolnie.

Zdawało mu się, że słyszy jakiś łoskot koło okiennic i koło drzwi, coś jakby barykadowanie ich i podpieranie—było to jednak dla niego najzupełniej obojętnem.

Niedługo potem, już prawie usypiając, rozbudził się na chwilę. Odgłos turkotu bryczki go dolatywał.

— Musiał Jan przyjechać—rzekł niewyraźnie—przyjechał... to przyjdzie... dziwniem śpiący.

Z temi słowami usnął i już nic nie słyszał więcej.

Mrożek po wyjściu z sypialni Świta, przez kilka chwil czatował pod jego drzwiami. Przez przygotowany zawczasu otwór, mógł widzieć każdy ruch starca.

— Pije — mówił do siebie, — będzie spał twardo... nie wypił wszystkiego nic nie szkodzi... doza może była za mocna... zaszkodziło mu... mnie przecież szło tylko o to, żeby się nie obudził zbyt prędko... i dobrze że o tem pomyślałem... starzy zwykle cierpią bezsenność.

Gdy spostrzegł, że starzec zamknął oczy, wsunął się cichutko do izby i zręcznie sprzątnął pugilares z jego papierami i pieniędzmi. Świt nie słyszał tego wcale?

Wychodząc zaryglował za sobą drzwi, potem wybiegł przed dom i zaopatrzył okiennice w ten sposób, żeby ich z wewnątrz nawet siłą otworzyć niebyło można.

Śpieszył się tak, że parę razy sztuknął głośniej.

— Do licha! gotów usłyszeć — myślał, ale pocieszał się zaraz, — nic nie szkodzi... czegóżby się mógł domyślać?... opjum już pewnie działa... miłe musi mieć sny...

Załatwiwszy się z tem, pobiegł do Janka.

— Słuchaj chłopcze — rzekł do niego, — Antek nie może zostać na wsi, bo ci Halkę sprzątnie z przed nosa.

— Jać to wam ciągle gadam, panie bakałarzu.

— Znowu go dziś widziałem z Halką — mówił dalej Mrożek, — ta dziewczyna szaleje za nim, trzeba żeby jego noga tu nie postała, inaczej wszystko przepadło.

— Więc ona go już kocha?—z rozpaczą zawołał Janek.

Mrożek uśmiechnął się szyderczo z biednego chłopca, który po tem co widział na własne oczy i co od samej Halki usłyszał, mógł jeszcze takie zadawać pytania.

— Kocha czy nie kocha — odpowiedział, — to wszystko jedno... słyszałem od samego proboszcza, że tej niedzieli ma być ich zapowiedź...

— O! niedoczekanie, ja pierwej ich zabiję...

Cicho chłopcze, zaraz zabijać... bój się Boga!.. cóż Halka winna?... jemu tylko błyśnij nożem pod nosem... choćbyś go nawet drasnął gdzie w żebro delikatnie... nic nie szkodzi... wszak to tylko dla nastraszenia... miarkuj jednak rękę, żebyś nie zabił.

Janek porwał za nóż, zatknął go za pas i już był gotowy do drogi.

— Czekaj, gdziesz lecisz?... — rzekł zatrzymując go Mrożek.

— Do chaty Kałata.

— Po co?.. nie śpiesz się, bo głupstwo zrobisz... Antka znajdziesz w zatraconej chacie u Tomka... wywołaj go... powiedz że to od Dawida, pamiętaj... od Dawida... już on wyjdzie z tobą z pewnością... a jak będzie trochę dalej od chaty, nastrasz go nożem i pędź choćby na szczyt Giewonta... już on się tu więcej nie pokaże.

— Cóż to za Dawid?—spytał jeszcze odchodząc chłopak.

— Co cię to obchodzi mój chłopcze, to żaden Dawid, to jest tylko takie zaklęcie, żeby cię Antek słuchał i wyszedł do ciebie...

— To wy potraficie zaklinać, panie bakałarzu? — zapytał przesądny góral.

— Umiem... idźże już... spraw się dobrze...

— A to zaklnijcie mój nóż, żeby Antka wystraszył i Halkę, żeby mnie kochała.

— Nóż zakląłem i Halkę zaklnę... tylko Antka pozbyć się trzeba, ruszaj że przecież..

Janek pobiegł, ile mu nóg starczyło.

— Nie sprawi się tak prędko—mówił Mrożek do siebie po jego odejściu—do zatraconej chaty nielada kawał drogi, zostaje mi najmniej godzina, a nawet więcej czasu. Szkoda, że nie widać Dawida! jeżeli nie przyjedzie w tej chwili, gotowo mu się upiec tą razą. Niewiele mam chwil do stracenia.

Traf sprzyjał widocznie planom Mrożka; w kilka

minut bowiem zajechała bryczka Dawida, turkocząc tak głośno, że ją aż usłyszał usypiający starzec.

Fałszywy Jan Świt pobiegł naprzeciw niemu, wysadził co prędzej i wprowadził do swojej izby.

— Jest interes, — rzekł do niego, zrobiony według twojej metody.

— Czy aby pewno według mojej?—zapytał Dawid— z tobą się wdawać niebezpiecznie... może to głupstwo jakie?

— Ale! głupstwo! powinszujesz mi jak się dowiesz Dawidzie.

— Gruby interes?

— Najmniej tysiąc dwieście reńskich gotówką... z tobą do połowy.

Karczmarz cmoknął.

— Nie złe, czy aby pewne i bezpieczne ciekawym.

— Zobaczysz... zostać musisz u mnie przez noc.

— No, a co potem?

— Dam ci twoją połowę gotówką zaraz teraz, jeśli mi dasz słowo, że mnie nie zdradzisz i nie odstąpisz.

— Nu, a co trzeba będzie zrobić?

— Tyle jak nic, potakiwać mi tylko i pomagać. Przyjechał tu do mnie stryj, człowiek bogaty, jutro z rana wyjeżdża, chcę wykłamać od niego pieniędzy, wiem że ma z sobą półtora tysiąca reńskich, tysiąc dwieście dać musi. Powiesz żem ci tyle winien, i że przyjechałeś, aby mnie tradować i skarżyć, jeżeli ci nie zapłacę.

— Tylko tyle — rzekł Dawid, —zgoda... daj pieniądze i napisz rewers.

Mrożek wyliczył sześćset reńskich, napisał żądany rewers kładąc na nim datę znacznie dawniejszą i oddał to wszystko Dawidowi.

Arendarz najobojętniej schował papier i pieniądze do pugilaresu, potem rzekł zimno.

— Nu, ja ciebie dobrze poznałem, ty zawsze głupi.

Mrożek skamieniał, w pierwszej chwili przyszło mu na myśl, że Dawid czegoś się domyśla i podejrzywać go zaczyna.

— Czemuż znowu? — rzekł bledniejąc.

— Bo tak się takie interesa nie robią — odrzekł Dawid—ja żebym był na twojém miejscu, tobym sam stryja okłamał i niedałbym nikomu nic.

Mrożek ochłódł cokolwiek.

— Nie znasz starego, nie tak to z nim łatwo.

— Nu, jeżeli już koniecznie trzeba wspólnika, to ja bym tak nie zrobił jak ty... Czy ty wiesz, że ja tobie mogę teraz zabrać całe te twoje tysiąc dwieście reńskich?

Ta uwaga wypowiedziana z tryumfem wystawiającej się na popis przebiegłości, zupełnie uspokoiła Mrożka. Widział, że arendarz więcej tem jest zajęty, żeby mu swoją wyższość pokazać, niż żeby zbadać prawdopodobieństwo zmyślonej przez niego historji. Zrozumiał natychmiast, że dobrem odegraniem swojej roli, może karczmarza jeszcze bardziej utwierdzić w przekonaniu o prawdziwości tego co mu powiedział. Udał więc największe przerażenie i zawołał:

— Człowieku! byłżebyś zdolny?

— Człowiek do wszystkiego jest zdolny—odrzekł sentencjonalnie Dawid—to już taka różnica między człowiekiem i bydlęciem.

— Dawidzie ty żartujesz... ty nie masz serca... ja cię błagam, proszę... zaklinam!

Wykrzykując patetycznie jakkolwiek stłumionym głosem te wyrazy, Mrożek ukląkł przed karczmarzem i zaczął go całować w ręce.

—Nu, ja nie rozumiem takiego nabożeństwa—rzekł Dawid—ale niebój się nic... ja tobie tylko chciałem dać naukę, żebyś był ostrożny... Dawid ciebie nie skrzywdzi... Dawid tobie odda co twoje...

— Daj mi kontra-rewers na te pieniądze—odezwał się na to Mrożek.

— A, tak to rozumiem... teraz ty zaczynasz mieć rozum, chociaż ja twój przyjaciel nie należało o tem zapominać, właśnie dla tego żem twój przyjaciel.

Licząc na to, że z Mrożkiem nieraz jeszcze może da się zrobić interes, Dawid dał mu dowód honorowości i napisał kontra-rewers.

— A teraz połóż się spać tu u mnie—rzekł Mrożek.

— No, a gdzież ty spać będziesz.

— Na górze.

— A mój koń?

— Odprowadzę go do stajenki...

— Dobrze...

— Może byś co zjadł jeszcze?

— Jeść mi się nie chce... chyba byś miał co pić.

— Mam herbatę i wódkę... co wolisz?

— Daj herbaty.

Przygotowując herbatę dla starego Świta, Mrożek przygotował ją także dla Dawida i tak samo przyprawił usypiającemi kroplami. Rzecz prosta, że i wódka była przyprawioną tak samo, gdyż inaczej nie byłby jej proponował Dawidowi do wyboru.

(Dalszy ciąg nastąpi).

WIGILJA BOŻEGO NARODZENIA.

Z pomiędzy uroczystych świąt Chrystusowego kościoła, zespolonych silnie z życiem narodów, niema weselszej dla ducha uroczystości a milszej dla serca, nad *Wigilję Bożego Narodzenia*. Komuż oko nie zapłynie łzą serdeczną, gdy mu przed myślą zabłyśnie owa jasna gwiazdka, co tak uroczo, tak promienisto, nad dziecinnem świeciła mu czołem, gdy szczęśliwy i niewinny patrzył na nią z kolan matki, pod gorącem spojrzeniem ojca, otoczony gronem kochającego rodzeństwa. W jej łagodnym, jasnym promieniu, niby w księdze żywota wyczyta: minione bóle, łzy, czyste roskosze serca, prace święte. Cały religijny, wzniosły, serdeczny poemat, zawiera ten jeden wyraz: *Wigilja*. Ona ożywia serca zwątpiałe, wraca uśmiech radości na usta odwykłe od śmiechu wesela, gromadzi rozproszone rodziny, nieci radość tak w chatce jak w domku ubogim, tak pod strychem gdzie z niedolą walczy wytrwałość i wola niezłomna, jak i w pałacu bogacza. W tym dniu jednym, jasnym, pogodnym, jak czystego szczęścia wspomnienie, najwięcej zbolałe serce weselej uderzy, bo nie ma tak smutnego, tak nieprzystępnego dla nadziei przybytku, gdzieby promyk jasnej *gwiazdki Bożego Narodzenia* nie przebił się cudownie. Zaledwo jej brylantowe światełko rozjaśniło niebiosa, jakaś uroczysta powaga ogarnia wszystkich serca, bo urocze światełko gwiazdki już nietylko trzech Mędrców, ale wszystkich rodzin chrześcijańskich, całej rodziny Bożej, opromieniło ducha.... a już nie ma Herodów coby na jej widok drżeli! Pierwszy promień gwiazdki pada na *Opłatek*, to nasz wyłącznie poemat religijny, bo żaden naród nie uczcił go tak uroczystym obchodem, my, uczyniliśmy go symbolem braterstwa, niby gołąbkiem pojednania, zwiastunem pociechy, co oddalonym niesie święte wspomnienia, uprzytamnia rodzinne strzechy, nakoniec łączy nas z temi, co już niebieskiej używają rozkoszy. Pamiątka łamania się opłatkiem ma wzniosły początek religijny. Nim to pierwsi chrześcijanie dzielili się w katakumbach, rozsyłając go w puszkach zamkniętych oddalonym braciom i siostrom w Chrystusie, jako Ciało i Krew Tego, który nim ludzkość z miłością

obdzielił i znak solidarności chrześcijańskiej. I dziś opłatek zachował swoją świętą i wzniosłą cechę; przemieniony cudownie w pokarm duchowy, posila nas i umacnia, a jako symbol jedności braterskiej i religijnej, przeciska się do przybytków moralnej niedoli, otwiera więzienia, by do niego i winowajców wyciągnęły się ręce, by im uprzytomnił chatkę rodzinną, w której się ujrzą z białemi, czystemi dłońmi wyciągniętemi po opłatek złamany przez ojca i matkę, a łza serdeczna, jeżeli nie przed wyrokiem ludzkim, to przed sądem Bożym, zmniejszy skruszonych winę....

Już opłatek tysiące rąk złamało... i wszystkie serca chrześcijańskie niewysłowiona ogarnęła błogość. Ci, co wzięli okruszynę opłatka z dłoni ogrzanych gorącem uściśnieniem, przy uśmiechu wypogodzonych twarzy, i ci co go złamali ze łzą drgającą w oku łącząc się z ukochanemi serdeczną myślą tylko, zbliżają się do stołu potrząśniętego sianem, na którym zastawiono wieczerzę *Wigiljq* zwaną. Jedni, wszystkich ukochanych przy rodzinnym stole znaleźli, nikogo im tu nie brak;... drugim... łzy ćmią spojrzenia, bo oczy ich chyba w górze, lub w sile wspomnień, ujrzą ukochanych oblicza. Ale są biedniejsi jeszcze moralnie—to samoluby, co się zaparli miłości bratniej i nikogo prócz siebie, przy tym stole nie widzą. Zasiadły więc rodziny chrześcijańskie przy stołach potrząśniętych sianem, zasiadały w chatkach, domkach, pałacach—bo oto z góry już nam zaświeciła brylantowa gwiazdka, którą sprowadziła Miłość Najwyższa. Zapomnijcie smutni o waszych cierpieniach, ubodzy o niedoli, nędzarze o ubóstwie, oddaleni o tęsknocie serca—bo o was nietylko Bóg, ale i ludzie w dniu tym pamiętali. Bogatsi i szczęśliwsi bracia wasi odjęli sobie od wygód, zbytków, strojów, by w dniu tym przynajmniej udzielić wam braterstwo, groszy kilka na zastawienie *Wigilji*, dla waszych zgłodniałych, wynędzniałych dziatek; bo czyżby ci uprzywilejowani od losu wybrańcy, spożywali tak wesoło wieczerzę, gdyby wam cząstki z swych sutych zastaw nie dali? Spożywajcie więc wszyscy radośnie dary Boże, tak smutni jak weseli—tak biedni jak bogaci. Lecz oto wesoły głos dziatek odrywa ucztujących od wieczerzy, gdyż zielona *Hoinka*, cała jarząca kolorowem światłem, rozjaśniła tak domek ubogi jak i pałac wspaniały, bo któryż ojciec i jaka matka poskąpiłaby *kolędy* dla swych Benjaminków? Ale już gwiazdka coraz wyżej wzbija się na Niebie, odgłos dzwonu słodko, rzewnie, odbił się niewysłowionym dźwiękiem, w sercach pobożnych. Kościoły goreją od światła i zapełniają się ludem Bożym. Jakie gorące modlitwy płyną z serc tysięcy, zda się że *Święta ofiara* poraz pierwszy spełnioną zostanie, bo taka uroczysta cisza wieje w świątyni Pana, tak wszystkich oblicza jakąś niezwykłą, świętą pogodą jaśnieją. W tym... rzewna nuta starodawnej, ukochanej nam pieśni: *Hej kolenda! kolenda!* zabrzmiała na chórze kościelnym. I serca uderzyły goręcej, niewysłowione uczucie ogarnęło piersi, łzy cichej, rzewnej duchowej radości płyną z oczu modlących, a nieziemski pokój nawiedza ducha, bo oto: *Zbawca Świata* już się narodził w sercach, gotowych na Jego przyjście.

J. Żdżarska.

CHLEB PYTLOWY I RAZOWY.

Powszechnie, szczególniej w robotniczych kołach istnieje mniemanie, że chleb jest tem lepszy im jest bielszy; to przekonanie jest jednak najfałszywszem, gdyż tylko chleb wypiekany z mąki pomięszanej z otrębami jest prawdziwie pożywnym, a jako taki dla biedniejszej klassy najwłaściwszym. Dr. Liebig dowodzi, że odłączanie otrąb od mąki, jest rzeczą zbytkową i ze względu na pożywność raczej szkodliwą aniżeli pożyteczną. Thryon już przed 400 laty zalecał, żeby każdy człowiek dbały o swoje zdrowie, nie oddzielał najbielszej mąki od najgrubszej najczarniejszej.

Przeciąwszy ziarnko zboża i przypatrzywszy się płaszczyznie przecięcia przez szkło powiększające, spostrzeżemy pod twardą zewnętrzną łuską warstwę drobnych komórek; komórki te właśnie zawierają w sobie lepę—pierwiastek bardzo ważny do pożywienia. Więcej ku środkowi ziarna posunięte komórki, są napełnione skrobią czyli krochmalem, t. j. główną częścią składową mąki. Skrobia w tych komórkach znajduje się w formie kuleczek, złożonych z warstw dośrodkowych tak, że kuleczka prawie muszlowato wygląda i zawiera białą delikatną mąkę, którą wielu za najlepszą uznaje, podczas gdy ciemniejsza i grubsza mąka bliżej łuski, za mniej dobrą jest uważana; w istocie zaś ta ostatnia o wiele jest pożywniejszą od pierwszej. Lepa znajduje się w chlebie w małej ilości, a pożywność chleba jest tem większą, im więcej lepy w sobie zawiera; zastępuje ona bowiem w roślinach miejsce białka i włókna znajdującego się w mięsie, a skład jej podobny jest do składu ciał wspomnionych, które bardzo ważny wpływ wywierają na utrzymanie naszego życia, dla tego więc ważnem jest, żeby chleb jak najwięcej lepy w sobie zawierał. Oprócz skrobi i lepy znajduje się jeszcze w chlebie woda i nieco soli częścią domięszanej przez piekarza, częścią zawartéj już w łusce ziarna, soli wapiennej i ziemi. Chleb razowy zawiera na 100 części wagi 36 części skrobi, 4 części cukru skrobiowego, 5 części lepy, 1 część soli organicznych, 5 części bezużytecznego włókna roślinnego, które jest ważne tylko z powodu swego działania mechanicznego jakie przy trawieniu wywiera; oprócz tego zawiera chleb 49 części wody. Najwłaściwsze pożywienie nasze jest takie, które się składa z 5 części podtrzymujących palenie i jednej części plastycznych pożywnych. Tłuszcz, olej, cukier, skrobia i t p. są środki pożywne, zawierają wiele węgla i polegają w ciele naszem powolnemu spaleniu, przyczem ciało rozwija za pomocą kwasorodu, który w siebie wciągamy 30° R. ciepła, podczas gdy płuca wyziewają kwas węglowy jako produkt spalenia wymienione te ciała są podtrzymującemi palenie. Plastycznemi środkami pożywnemi nazywamy takie, które służą do wytwarzania pojedynczych części ciała, *np.* uzupełnienia muszkułów co z nich ubyło, lub też wzmocnienia osłabionych.

Ponieważ jednak główne części tych ciał stanowi azot, do tworzenia więc nowych i do wzmocnienia słabych, są potrzebne substancje bogate w azot. Najważniejsze tego rodzaju pożywienie stanowi mięso, następnie włókno zwierzęce, białko i t. d. Do tworzenia kości potrzebujemy części mineralnych jak soli, wapna i t. d., że potrzebna jest również woda i powietrze, to się samo przez się rozumie. Z tego wszystkiego wypływa: że tylko taki chleb jest prawdziwie pożywnym, który najważniejsze części pożywne w sobie zawiera, a takim jest właśnie chleb razowy. Chleb biały składa się w przeważnej części ze skrobi, rozwija więc w ciele więcej ciepła, ale tem mniej daje prawdziwego pożywienia; chleb razowy, zawierający wiele lepy, a zatem części prawdziwie pożywne, jest więc najzdrowszym i najpożywniejszym, przytem jest łatwy do trawienia, jeżeli jest starannie przyrządzony i dobrze wypieczony.

Doświadczenie najlepszy nauczyciel we wszystkich dziedzinach umiejętności, nauczyło nas, że organa trawienia w ciele ludzkiem tam są w lepszym stanie, gdzie chleb razowy stanowi główne pożywienie ludności, *np.* w Westfalji. W Anglji przepisywali dawniej lekarze na niestrawność cierpiącym używanie chleba z mąki razowej niepytlowanej. Mieszkańcy Fryzlandji, Pomorza, Jutlandji, są w porównaniu do mieszkańców innych krajów silniejsi i zdrowsi, a to z powodu, że główne ich pożywienie stanowi chleb razowy.

(G. Prz.)

ROZMAITOŚCI.

— **Wzrost Nowego-Yorku.** Niejednokrotnie już rozmaite podróże i czasopisma wspominały o niesłychanie szybkim rozwoju miast amerykańskich. Rzecz ta wszakże dla nas tak jest interesującą, tak nową, że nie wahamy się przytoczyć tu parę szczegółów o wzroście Nowego-Yorku, który wkrótce zapewnie stanie się największem miastem na świecie. Jeszcze w r. 1801 można tu było nająć bardzo porządny dom za 200 dollarów, a cała rodzina mogła żyć bardzo przyzwoicie wydając w rok nie więcej nad 750 dollarów; obecnie takieżsame utrzymanie kosztuje 8—10,000 dollarów. W r. 1801 dochody miejskie wynosiły 17,000 dollarów, obecnie wynoszą one około 17 miljonów. Pod koniec 1866 roku było w Nowym-Yorku 50,000 domów mieszkalnych. W roku 1865 wyrabiano rozmaitych rękodzieł za 159 miljonów dollarów. Gdyby zaś ludność wzrastała w tymże samym stosunku jak dotąd, to w 1900 roku byłoby w Nowym-Yorku 4 miljony mieszkańców. Ilość uczniów w rozmaitych szkołach wynosiła w roku zeszłym 10,000; niestety, jednak takąż samą ilość i żebraków liczono!

— **Głupie postanowienia.** Niejeden gdy coś powie i przyrzecze choćby najgłupszego, wykonywa koniecznie, chcąc tym sposobem okazać swą silną wolę a właściwie upór, bo silna wola zasadza się na przekonaniu, a upór tylko na bojaźni cofnięcia się i ośmieszenia wbrew przekonaniu. Przykładem takiego uporu, który zapewne połączony był z zuchwalstwem a może i czemś, było zdarzenie jakie w Listopadzie r. b. miało miejsce w Uniatyczach w powiecie Drohobyskim. Jeden z wyrobników, pisze *Kurjer Codzienny*, zrobił zakład, iż wypije duszkiem kwartę okowity wyraźnie okowity. Pomimo odradzania tego przez sąsiadów, nie chciał on odstąpić od swego zamiaru. Szynkarka jednak, bez jego wiadomości, niedała mu samej okowity, ale pomięszała ją z wódką. Pomimo jednak tego, wyrobnik po wypiciu onej kwarty, uczuł ogromne uderzenie wódki do głowy, zaczął się zataczać i dwaj sąsiedzi musieli go odprowadzić do mieszkania, gdzie też nad ranem zakończył życie, zostawiając w nędzy żonę z czworgiem dziatek. Takie to zwykle bywają skutki głupoty!

— **Pekin.** Do osatnich prawie czasów poczytywano Pekin za największe miasto na świecie; a ludność jego liczono na miljony. Tymczasem najnowsze badania pokazały, że ludność ta zaledwie dochodzi 500,000 mieszkańców. Co do objętości, Pekin posiada 25 wiorst obwodu, ale w tej liczbie zawierają się prawie puste cyrkuły, jak niemniej ogromne parki, ogrody, place, cmentarze i t. p. Wreszcie i to wziąść potrzeba na uwagę, że domy chińskie są po większej części parterowe, a więc niewielka stosunkowo ilość mieszkańców, znaczne nieraz przestrzenie zajmuje. Miasto samo w porównaniu z europejskiemi stolicami, bardzo niekorzystnie wygląda. Ulice po większej części są niebrukowane, przed domami stoją cuchnące kałuże, w domach zamiast szklanych, papierowe okna.



Spostrzegli w pewnem oddaleniu gruppę górali Tatrzańskich. (Do Samobójcy, str. 404)

PODSŁUCHANE GDZIE SIĘ ZDARZY.

(*Na wsi*):

Ojciec. Mówiłem ci Jasiu, żebyś nie dotykał się tego psa, może cię ukąsić.

Syn. A dla czego tatek się dotyka?

Ojciec. Bo my się znamy z sobą.

Syn. To i mnie niech tatek z tym psem zaznajomi; proszę mu powiedzieć, że jestem Jaś syn tatki.

Myśli i Zdania.

Nauczcie się naprzód mówić samym sobie prawdę — będziecie jej wtedy z chęcią słuchać od innych — i mówić ją innym; rozwinie to ukształconą opinią społeczną, co znów zmniejszy listę nikczemnych.

☛ Do tego Numeru Opiekuna Domowego dołącza się Prospekt o *Przeglądzie Tygodniowym* i na *Wiedzę*, oba pisma zostające pod redakcją *Adama Wiślickiego*.

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.—Redaktor, Adam Mieczyński.